

Dwie chwile

Na dziedzińcu w Żarnowcu bawilo się trzech chłopców w żołnierzy. Powbijane w ziemię dość grube patyki z zawieszonymi na wierzchu liśćmi łopianu miały przedstawiać srogich Tatarów.

— Hej, równać się, do szeregu! — zawołał Stefan.

Dwaj jego bracia, Kryś i Marek, w pierwszej chwili usłuchali komendy i stanęli gotowi do walki. Wtem Kryś, jakby sobie coś przypomniał, nagle zawołał:

— Cóż to, najmłodszy jesteś i chcesz nami dowodzić?

— A prawda, skąd mu się to wzięło? — poparł go Marek. — To mnie, jako najstarszemu, dowództwo należy!

— Tatarzy pładrują, a wy będziecie się sprzeczać! — rzekł z zaiskrzonymi oczami Stefan, a nie czekając odpowiedzi, zawołał:

— Za mną!

I rzucił się pierwszy między mniemanych Tatarów. Głos Stefana brzmiał tak rozkazująco, a odwaga jego tak podziałała, że chłopcy, nie sprzecząc się już, kto ma dowodzić, pędzili z wyciągniętymi przed siebie drewnianymi pałaszami i z taką zacietością dopomagali bratu, iż wkrótce pole walki zasłane było tatarskimi głowami, a tułowia ich poprzewracane czerniły się na zielonym trawniku.

Przy tej walce jednakże jeden z patyków, wyobrażające Tatarów, tak energicznie został zdruzgotany, iż odłamek jego utknął w obnażonej szyi Stefana.

Ale Stefan nie sobie z tego nie robił, tylko wołał: — Za mną! za mną!

Z męstwem prawdziwego wodza przebiegał trawnik, zaścietając go nieprzyjaciółmi, a bracia jego, zapomniawszy o starszeństwie, dzielnie mu dopomagali.

Gwar ich i krzyki wywołały przed dom matkę, która, przysloniwszy ręką oczy przed promieniami zachodzącego słońca, zawołała:

— Nie krzyczcież, chłopaki!

Właśnie chłopcy ostatniego powalili Tatara, gdy usłyszeli głos matki. Zywo ku niej przybiegli.

— A to co? — zapytała, spojrzawszy na drzazgę, tkwiącą w szyi Stefana.

— To strzała tatarska — odrzekł i wy-

ciągnął drzazgę, jakgdyby wyjmował igłę z poduszeczki.

Krew popłynęła z rany, lecz Stefan nie skrzywił się nawet. Okazało się jednak, że kawałek drzazgi został w ranie i matka z całą starannością musiała wydstać ów odłamek tatarskiej strzały.

Kryś i Marek ze współczuciem patrzyli na tę operację, Stefan zaś nie syknął nawet.

— Czy cię to boli? — zapytał Marek.

Chłopiec w miejsce odpowiedzi spojrzął na brata, a z oczu jego łatwo było poznać, jak bardzo cierpiał.

— E, chyba go nie boli, bo nie krzyknął ani razu — rzekł Krzysztof.

Ale Stefan zawołał:

— Cóżby powiedziało wojsko, gdybym ja, wódz, płakał przy opatrywaniu rany!

I pocałowałszy matkę w rękę na podziękowanie za opatrunek, oglądał mieczyk drewniany, czy nie został uszkodzony podczas bitwy.

II.

W dziesięć lat potem, to jest w roku 1616, do hetmana Stanisława Koniecpolskiego odwiózł Imci pan Krzysztof Czarniecki syna swego Stefana, gdzie go jako towarzysza do hetmańskiej chorągwy zaliczono.

Król Zygmunt III prowadził wówczas wojnę ze Szwecją, każda więc dłoń młoda i silna powinna się być przyczynić do szczęścia i spokoju kraju.

Zrozumiał to odrazu młody Stefan; że jednak w sztuce robienia bronią nie był dostatecznie wywiczony, ażeby mógł pójść na wojnę, oddał się sumiennej nauce wojskowej i spełniał wszelkie rozkazy swego naczelnika.

To też spotykał go zaszczyt, iż towarzyszył często hetmanowi, zaliczony do niewielkiego zbrojnego orszaku, jakim zwykle w owym czasie podczas podróży otaczało się dla honoru i bezpieczeństwa.

A właśnie roku 1616 Turcy i Tatarzy podkradali się na Ruś Czerwoną, a często-kroć i do Małopolski zapuszczali swoje zagony.

Razu pewnego hetman wyruszył dla obejrzenia jednej ze swoich chorągwy.

Na odpoczynek rozłożono się pod Sokołówką, wioską o kilka mil od Lwowa położoną; na młodego Stefana przypadła nocna warta.

Cisza była zupełna; obóz hetmański spoczywał, tylko porozstawiane stráže czuwały nad bezpieczeństwem.

Stefan, dumny, iż spotkało go tak zaszczytne stanowisko, przechadzał się tam i napowrót, wyteżając słuch, czy jakie niebezpieczeństwo nie zagraża obozowi. Słuchem też mógł tylko czatować, noc bowiem była tak ciemna, iż najbystrzejsze oko nie rozczułoby nic na dwa kroki od siebie. Trawy szumiały cichym swym szmerem, myląc słuch młodego żołnierza.

Zdawało mu się jednak, że się ktoś zniennać podkrada.

Nateżył słuch pilnie.

— Nie, nie! to jeno złudzenie — rzekł do siebie i zaczął się znów tam i napowrót przechadzać. Nagle usłyszał tuż nad uchem jakiś świst i jednocześnie strzała utkwiała mu w szyi. Mimo bólu odwrócił się i uderzył mieczem, lecz przeciał tylko powietrze; posunął się na jedno pchnięcie, uderzył po raz drugi na oślep i wtedy poczuł, że miecz jego natrafił na opór.

Usłyszał też jednocześnie, że jakieś ciało opodał niego upadło i poczuł, że miecz ciepłą krwią ociekał. Nie zdawał sobie jednak z tego sprawy, tylko zatrafił na alarm.

W jednej chwili cały obóz był na nogach. Nigdzie wszelako w pobliżu nieprzyjaciela nie było.

— Kto zrobił alarm? — zapytał surowo hetman.

— Stefan Czarniecki — odpowiedziano.

— Przyzwac go! — rozkazał Koniec polski.

Już świt ranny walczył z cieniami nocny, gdy Stefan stanął przed hetmanem, ślaniając z bólu i krwi upływu.

— Zrobiłeś faszwy alarm! czy wiesz, co cię czeka? — zawołał hetman.

Lecz nim młodzieniec zdolał odpowiedzieć, hetman ujrzał utkowaną strzałę w szyi młodzieńca.

— A to co? — zapytał, wyciągając własnoręcznie strzałę.

— Powód alarmu — odrzekł Stefan.

— Czemu strzały dotąd nie wyjął?

— Wyjawszy, byłbym musiał zejść z posterunku — odrzekł Stefan, krwią obrzygany, nie krzywiąc się jednak, pomimo okropnego bólu.

— Opatrzyc go czempredzej! — zawołał Koniecpolski, a potem rzekł jakby do siebie:

— Dzielny będzie z niego żołnierz.

Można się było co chwila spodziewać napadu, szykowano się więc do walki.

Wkrótce też Tatarzy wylonili się z pomiędzy traw i burzanów i milczkiem na poczet hetmański napadli.

Walka trwała krótko. Stefan w duszy wydzieriał się do niej, lecz rozumiejąc posłuszeństwo i rygor wojskowy, z miejsca się swego nie ruszył.

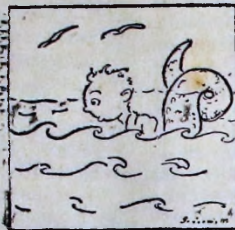
Takie posłuszeństwo wyrobiło z niego dzielnego i słynnego później wodza.

W lipcu

Już po święcie Matki Bożej,
Już się zaczęła żniwa,
Już przepiórka swoją piosnkę
Do żniwiarzy śpiewa:
„Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć,
Już dostało zboże!
Pójdźcie żąć, zbierać plon
Pomagaj wam Boże!”
Dźwięczy kosa cienko, śpiewnie,
Klepana żelazem

I ostrzona oselkami
Równno raz za razem.
Pada zboże z cichem chrzęstem
Równniutko pokotem,
Błyszczy słoma w blaskach słońca
Szczerem jasnem złotem.
A tam w niebie święta Anna
Kornie prosi Wnuka,
By obfity plon wydała
Kaźda orna włoka.

Wielkie łowy Tadeuszka



— Cóż Cię sprowadziło zuchu
Chłopczyno, nieboże?
— Pragnę zaznać przygód, ruchu,
Widzieć nasze morze!
— Bravo! zgoda, mój chłopczyno
Siadaj na swe konie!

I zuch wjeżdża z tęgą miną
W modrę, morskie tonie.
I rozgląda się wokoło
I dziwi się mały,
Że w głębinach tak wesoło
Świat taki wspaniały!



Wkońcu muszel i koral
Nabrał pełne dłonie,
I znowu na grzbiecie fali
Jedzie on... i konie.
I gdy sobie tak wspaniale
Po Bałtyku płynie

Gdy opadły morskie fale
Ujrzał zuch nasz.... Gdynie!
Zoczył zucha sternik młody
— Czuwaj! zuchu — krzyczę
I z okrętu rzuca w wodę
Pierścień ratowniczy.

Moja matka

Moja Matka po całych dniach szyje suknie śliczne, różnokolorowe.

Przez cały dzień widzę Jej najmilszą, pochyloną nad maszyną głowę.

A wieczorem, kiedy leżę w łóżku, nim sen zamknie mi ciężkie powieki, stukotanie maszyny mi szeptem dziwną powieść o krajach dalekich.

Jak dorosnę będę marynarzem...

— Tak, tak... — szeptem maszyna pocziwa —

jak powróćisz z dalekich podróży opowiesz nam o zamorskich dziwach.

Tak, tak, tak... ujrzysz, chłopcze, Japonję

i ogrody wiśniowe Mikada, o krainie Wschodzącego Słońca będzie szeptać ci baśnie noc błada.

Tak, tak... Potem czar starych Indyj szmer Gangesu przed tobą roztoczy.

Potem może cudna Polinezja dziwnem pięknem rozelśni ci oczy.

Tak, tak, tak... szeptem dobra maszyna a tymczasem sen, kochany czarodziej, pocichutku do łóżka mojego

w przydeptanych pantoflach podchodzi. I sam nie wiem, kiedy zwolna na oczy opadają zmęczone powieki.

A czarodziej — sen rozsnuwa dziwy krain różnych, bezmiernie dalekich.

Czasem budzę się nagle i we śnie serce dziwnie mi w piersiach łombce...

Boże!.. Tygrys tu był,.. Eh, nie, cisza, tylko stara maszyna terkoce...

Gdzieś zniknęły odległe krainy, pierzchły zjawy różnokolorowe, a przy świetle lampy widzę Matki

pochyloną najmilejszą głowę.

— Mamo, nie śpisz? — pytam drżącym głosem.

— Przecież późno już pewnie, Mateczko! —

Milknie stukot maszyny. — Za chwilę się położę, śpij dobrze, syneczku! —

— — — — —
Przeszła zima. Już ciepło na świecie, już podobno rozkwitły kasztany.

Chciałem spojrzeć na wiosnę tam w parku,

w słońca złotym blasku roześmianą.

— Tak dziś ślicznie. Pójdziemy, Mateczko,

w słońce, w jasne parkowe aleje! Może wtedy się, Matuś, beztrosko do słoneczka złotego rozśmieszysz?

Przecież bolą Cię plecy, kochana, tak od rana wciąż szyć aż do nocy niech odpoczną dziś, Mateczko droga, Twoje dobre, pomęczzone oczy! —

— Idź sam, synku, muszę dziś wykończyć tę jedwabną sukieneczkę różową...

Idź, kochanie! — I znów nad maszyną najkochańsza pochyla się głowa.

— — — — —
Nie poszedłem. Usiadłem i słucham, jak terkoce miarowo maszyna i powoli o zielonym parku i rozkwitłych kwiatach zapominam. Nie przeszkadzam już w szciciu

Mateczce, ale myślę: jak tylko urosnę, zapracuję na chleb sam i pokażę Ci, Mateczko, roześmianą wiosnę.

Przyjaciel Władzia

Władzia spotkała wielką radość.

Dostał pieska, ślicznego, białego, wełnistej sierści, takiego, o jakim oddawna marzył.

Dziękował mamie, pieścił psinę, a matka cieszyła się razem z chłopcem.

— Będzie się nazywał „Motek”, bo taki puszysty, jak wełna w koszyczku od roboty mamusi; nauczę go służyć aportować, będziemy przyjaciółmi.

— Dobrze, — zgodziła się mama — tylko to jeszcze młode psiątko, szczeniaczek musisz go najpierw wychować, nauczyć porządku, posłuszeństwa, a innych rzeczy później, jak podrośnie.

Upłynął rok. Motek wyrósł na ślicznego, mądrego psa, a do Władzia był przywiązany całą gorącością wiernego, psiego serca.

Władzio nawzajem ogromnie lubił, prawie kochał swego przyjaciela, i nieraz w szkole, choć pilnym był uczniem, tęsknił do niego.

Kiedy wracał do domu, pies wybiegał naprzeciw pana z radosnym szczekaniem, lizał mu ręce, skakał do twarzy.

— Piesku, mój piesku kochany — witał go chłopczyk, głosząc go ku dłutej głowie, a pies szalał z radości.

Wspólne spacerunki były największą przyjemnością obu przyjaciół, a ponieważ Władzio mieszkał na przedmieściu i niedaleko zaczynały się łąki i place, więc mieli dużo miejsca do biegania, harców, skoków.

To też używali swobody w całej pełni i dobrze im było razem.

W lecie Władzio kąpał się w jeziorunku, na łące.

Ubrania kazał pilnować Motkowi, a sam wskakiwał do wody.

Oj, co to się działo z tą kąpielą!

Psu aż oczy wylazły, skóra drżała, chciał biec za panem, ale wiedział, że musi pilnować ubrania.

Dokąd Władzio kąpał się zwyczajnie, pies warował przy ubraniu, nie spuszczał oczu z pana. Ale, jak tylko chłopiec dawał nurka i chował się pod wodę, — Motek rzucał się jak szalony, w wodę, na ratunek swemu panu. Dopływał do niego, chwycił zębami za włosy kark, zmuszając do wypłynięcia.

Władzia z początku to bawiło i nieraz umyślnie nurkował, by pobudzić psa do rzucania mu się na ratunek.

Ale, pewnego razu, kiedy Motek zmordowany dopłynął do swego pana — chłopiec ze zdumieniem spostrzegł, że z oczu psa płynęły łzy...

Tak, łzy prawdziwe. Motek płakał..

Bo zwierzęta nieraz płaczą, choć ludzie się tego nie domyślają.

Motek płakał, myśląc, że ukochanemu jego panu grozi niebezpieczeństwo, a on, Motek, już nie ma siły go ratować, chciał więc zginąć razem z nim...

Władzio porwał psa, z rozczuleniem przytulił jego pocziwy łeb do twarzy, wołając:

— Motku mój, złoty piesku! już nigdy, nigdy tej zabawy nie powtórzę, nigdy naumyślnie cierpieć ci nie dam!

W oczach psa malowało się szczęście, uwielbienie dla pana, lizał go po rękach, nogach, biegał tam i z powrotem, szczekał, skakał, a Władzio dzielił z nim radość.

Znowu upłynął rok.

Motek był dużym, silnym psem, a tak kochał swego pana, że często przychodził pod bramę szkoły i tam czekał na niego, poczem razem wesoło wracali do domu.

Wszyscy koledzy Władka znali mądrego psa i lubili go bardzo.

Pewnego razu, przy takim powrocie do domu, Władzio, trochę roztargniony, nie zauważył pędzącego z bocznej ulicy samochodu, a kiedy spostrzegł niebezpieczeństwo i chciał się cofnąć — było już za późno...

Szybki jednak, jak błyskawica i czujny pies, pechnął silnie sobą chłopca, odrzucając go z pod kół maszyny, która za to zmiażdżyła ciało wiernego zwierzęcia...

— Motku mój, najdroższy piesku! — krzyknął zdławionym łzami głosem, pochylając się nad przyjacielem.

Zajaśniały chwilę jakimś światłem pocziwe, psie oczy... ocalił swego pana, może odejść...

Już nie żył...

Władek, choć dziś już dorosłym jest mężczyzną, ze wzruszeniem i wdzięcznością wspomina wiernego Motka.

Kurs ratownictwa



*Krew
z nosa*

Cóż to Kundzia nie chce dłużej
Bawić własną lalę?
Chce jak chłopak kopać piłkę.
W główce jej foot-bale.
Nie dla dziewcząt ta zabawa
Foot-balowe mecze...
Ktoś ją kopnął, w nos dostała
I krew z noska ciecze.
Poco było — warknął Pikuś
Robić amanturę?
Aby krew przestała cieknąć
Główny, przechył w górę.

Uczeń czarnoksięski

Magiczna butelka

— Co? Wujcio mi nie wierzy? —
oburzył się Jurek. — A ja powtarzam
jeszcze raz, że napiję się wody z zakor-
kowanej butelki.

— Chyba dziurę w niej wywiercisz! —
roześmiał się wuj.

— Wcale nie!

— No, jeśliś taki czarodziej, to pochwal
się! Tylko bez figłów!

Jurek wmg przyniósł pustą flaszkę z
wina, napełnił ją wodą i mocno zakorko-
wał. Potem odwrócił flaszkę, opierając ją
szyjką o stół i do wgłębienia, które się
znajduje w dnie, nalał wody i... wychylił
ją duszkiem.

— Już! — krzyknął z tryumfem.

— Za pozwoleniem! — zaprotestował
wuj. — Miałeś wypić wodę ze środka flaszk-
ki!

— O! przepraszam bardzo! — odpow-
iedział Jurek. — A kto powiedział, że
właśnie ze środka? Ja powiedziałem, że
napiję się wody z flaszki. Tak! To praw-
da. Ale czy wkłęśłe dno jest w flaszcze?
Jest. Aha! A jeśli dno jest we flaszcze,
to i woda, która do niego wlałem, też jest
we flaszcze! Aha! Może nie?, Kto ma
rację? ,

Cudowna rękawiczka

Jurek położył na stoliku kapelusz i
rękawiczkę wuja, i uśmiechnął się tajem-
niczo.

— Proszę wuj — powiedział. — Oto
kładę tę rękawiczkę na stoliku i przykry-
wam ją kapeluszem. O, tak. Jest pod ka-
peluszem, prawda? A teraz zrobię takie
czary, że wyciągnę ją nie dotykając ka-
pelusza!

— Wykluczone! — odpowiedział wuj.
— Zależę się z tobą, że nie zrobisz, tego.

— Zakłada się wuj? A o co?

— No, o paczkę chałwy!

— Wiwat! — krzyknął Jurek. Przy-
skoczył do stolika i zaczął coś majstrować
pod blatem, szepcząc jakieś niesamowite
słowa. Po chwili wyprostował się, odet-
chnął głęboko i rzekł z namaszczeniem:

— Już!

— Wuj z zaciekawiony podniósł kape-
lusz: rękawiczka leżała na swoim miej-
scu. Ale w tym samym momencie Jurek
błyskawicznie chwycił ją i zaczął skakać
ze śmiechem.

— A co! A co! nie dotknąłem kape-
lusza! Moja chałwa! Wiwat! niech żyje
wuj Oleś!

Ach, jakie smaczne!



Kaczka i kura

Kura, pełna strachu, kaczkę
przestrzegala,
By się lekkomyślnie w wodzie nie
kapała.
— Gdy zanurzysz, łapki i czubeczek
głowy,
Moja pani kaczko, kałar już gotowy,
A ty cała w wodzie siedzisz aż po
szyję.
Nigdy się nie kąpię i — wesoło żyję.
Woda jest do picia, a nie do kąpieli—
Takich kaczce nauk ena kura udzieli.
A kaczka ze śmiechem tak jej
odpowiada:
— Co też imość kura za brednie tu
gada?
Kura żadna w wodę iść się nie
ośmieli

Lecz dla kaczki życie jest tylko w
kąpieli. —
Kaczka swoje prawi, kura
odpowiada,
Na dobre zaczęła się już głośna
zwada.
Biegną kury, geśi zwabione tym
krzykiem
kaczki i pawie, indyczki z
indykiem...
Indyk wreszcie rzeknie: Na co tyle
wrzasku?
Kaczka jest do wody, a kura do —
piasku.
Co kaczce na zdrowie, to kurze
zaszkodzi.
Niech każda najlepiej swoją drogą
chodzi.